



Kwiat paproci

i inne baśnie

Armoryka

KWIAT PAPROCI

i inne baśnie

KWIAT PAPROCI

i inne baśnie

**Hans Christian Andersen, Józef Ignacy Kraszewski,
Bolesław Londyński, Franciszek Mirandola,
Andrzej Sarwa, Henryk Sienkiewicz**

**Armoryka
SANDOMIERZ 2009**

Redaktor: Brunisława (Brunia) Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Tytuł na okładce wydrukowano czcionką – Aneirin.ttf, której autorem i właścicielem jest Dave Nalle, The Scriptorium, www.fontrcraft.com
licencja na komercyjne wykorzystanie czcionek została wykupiona u ich autora.
Aneirin.ttf font copyright 2008 by The Scriptorium, all rights reserved

Copyright © 2009 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27–600 Sandomierz
tel (0–15) 833 21 41
e–mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978–83–7639–008–6

Józef Ignacy Kraszewski

KWIAT PAPROCI

Od wieków wiecznych wszystkim wiadomo, a szczególnie starym babciom, które o tym szeroko a dużo opowiadają wieczorem przy kominie, gdy się na nim drewnka jasno palą i wesoło potrzaskują, że nocą Świętego Jana, która najkrótsza jest w całym roku, kwitnie paproć, a kto jej kwiatusek znajdzie, urwie i schowa, ten wielkie na ziemi szczęście mieć będzie.

Bieda zaś cała z tego, że noc ta jest tylko jedna w roku, a taka niezmiernie krótka, i paproć w każdym lesie tylko jedna zakwita, a to w takim zakątku, tak ukryta, że nadzwyczajnego trzeba szczęścia, aby na nią trafić.

Ci, co się na tych cudowiskach znają, mówią jeszcze i to, że droga do kwiatu bardzo jest trudna i niebezpieczna, że tam różne strachy przeszkadzają, bronią, nie dopuszczają i nadzwyczajnej odwagi potrzeba, aby zdobyć ten kwiat. Dalej jeszcze powiadają, że samego kwiatka w początku rozeznąć trudno, bo się wydaje maleńki, brzydki, niepozorny, a dopiero urwany przemienia się w cudownej piękności kielich.

Że to tak bardzo trudno dojść do tego kwiatuszka i ułapić go, że mało kto go oglądał, a starzy ludzie wiedzą o nim tylko z posłuchów, więc każdy rozpowiada inaczej i swojego coś dorzuca.

Ale to przecież pewne, że nocą świętojańską on kwitnie, krótko, póki kury nie zapieją, a kto go zerwie, ten już będzie miał, co zechce. Pomyśl tedy sobie, choćby najcudowniejszą rzecz, ziści mu się wnet. Wiadomo także, iż tylko młody może tego kwiatu dostać, i to rękami czystymi.

Stary człowiek, choćby nań trafił, to mu się w palcach w próchno rozsypie. Tak ludzie bają, a w każdej baśni jest ziarenko prawdy, choć obwijają ludzi w różne szmatki to jąderko, że często go dopatrzeć trudno, ale tak i ono jest. I z tym kwiatkiem to jedno pewna, że on nocą Świętego Jana zakwita.

Pewnego czasu był sobie chłopak, któremu na imię było Jacuś, a we wsi przezywali go ciekawym, że zawsze szperał, szukał, słuchał, a co było najtrudniej dostać, on się najgoręcej do tego garnał... taką miał już naturę. Co pod nogami znalazł, po co tylko ręką było sięgnąć, to sobie lekceważył, a o co się musiał dobijać, karku nadłamać, najwięcej mu smakowało.

Trafiło się tedy raz, że gdy wieczorem przy ogniu siedzieli, a on sobie kij kozikiem wyrzynał, chcąc koniecznie psią głowę na nim posadzić, stara Niemczycha, baba okrutnie rozumna, która po świecie bywała i знаła wszystko, poczęła powiadać o tym kwiecie paproci...

Ciekawy Jacuś słuchał i tak się zasłuchał, że mu aż kij z rąk wypadł, a kozikiem sobie omal palców nie pozarzynał.

Niemczycha o kwiecie paproci rozpowiadała tak, jakby go sama w żywe oczy widziała, choć po jej łachmanach szczęścia nie było znać. Gdy skończyła. Jacuś powiedział sobie:

— Niech się dzieje, co chce, a ja kwiatu tego muszę dostać. Dostanę go, bo człowiek, kiedy chce mocno, a powie sobie, że musi to być, zawsze w końcu na swoim postawi.

Jacuś to często powtarzał i takie miał głupie przekonanie.

Tuż pod wioską, w której stała chata rodzicieli Jacusia, z ogrodem i polem — był niedaleko las, i pod nim właśnie obchodzono Sobótki, a ognie palono w noc świętojańską.

Powiedział sobie Jacuś:

— Gdy drudzy będą przez ogień skakali i łydki sobie parzyli, pójdę w las, znajdę ten kwiat paproci. Nie uda mi się jednego roku, pójdę na drugi, na trzeci i będę chodził poty, aż go wyszukam i zdobędę.

Przez kilka miesięcy potem czekał, czekał na tę noc, o nim nie myślał, tylko o tym. Czas mu się strasznie długim wydawał.

Na ostatek nadszedł dzień, zbliżyła się noc, której on tak wyglądał; ze wsi wszystka młodzież się wysypała ognie palić, skakać, śpiewać i zabawiać się. Jacuś się umył czysto, wdział koszulinę białą, pasik czerwony, łapcie lipowe nie noszone, czapkę z pawim piórkiem i jak tylko pora nadeszła, a mrok zapadł, szmyrgnął do lasu.

Las stał czarny, głuchy, nad nim noc ciemna z mrugającymi gwiazdami, które świeciły, ale tylko sobie, bo z nich ziemi nie było użytku.

Znał Jacuś dobrze drogę w głąb lasu po dniu i jaka ona była w powszedni czas. Teraz gdy się zapuścił w głąb — osobliwsza rzecz, nie mógł ani wiadomej drożyny znaleźć, ani drzew rozpoznać. Wszystko było jakieś inne.

Pnie drzew zrobiły się ogromnie duże, powalone na ziemi. Kłody powyrastały tak, że ani ich obejść, ani przez nie przeleźć; krzaki się znalazły gęste a kolące, jakich tu nigdy nie było; pokrzywy piekły, osty kasały. Ciemno, choć oczy wykol, a wśród tych zmroków gęstych coraz to zaświeci para oczu jakichś i patrzą na niego, jakby go zjeść chciały, a mienią się żółto, zielono, czerwono, biało i — nagle migną i gasną. Oczu tych, na prawo — na lewo, w dole, na górze, pokazywało się mnóstwo, ale Jacuś się ich nie uląkł. Wiedział, że one go tylko nastraszyć chciały, i pomrukiwał, że to strachy na Lachy!

Szedł dalej, ale co to była za ciężka sprawa z tym chodem! To mu kłoda drogę zaważyła, to on przez nią się przewalił. Drapie się, a gdy wierzch wlaź i ma się spuścić, patrzy, a ona się zrobiła taka mała, że ją mógł nogą przestąpić.

Dalej stoi na drodze sosna, w górze jej końca nie ma, dołem pień jak wieża gruby. Idzie wkoło niego, idzie, aż gdy obszedł, patrzy, a to patyk taki cienki, że go na kij wyłamać by można... Zrozumiał tedy, że to wszystko było zwodnictwo nieczystej siły. Potem stanęły na drodze gąszcze takie, że ani palca przez nie przecisnąć, ale Jacuś jak się rzucił, pchnął, machnął: zdusił je, zmiotosił, połamał i przedarł się szczęśliwie.

Idzie, aż moczar i błota. Obejść ani sposób. Spróbował nogą, grzęźnie, że ani dna dostać. Gdzieniedzie kępiny wystają, więc on z kępy na kępę. Co stąpi na którą, to mu się ona spod stóp wysuwa, ale jak począł biec, dostał się na drugą stronę błota. Patrzy za siebie, aż kępiny wyglądają gdyby ludzkie głowy z błota i śmieją się... Dalej już, choć kręto i bez drogi, szło mu łatwiej, tylko się tak błąkał, że gdyby mu przyszło powiedzieć, którędy nazad do wsi, już by nie umiał rozpoznać, w której stronie leżała.

Wtem patrzy, przed nim ogromny krzak paproci, ale taki jak dąb najstarszy, a na jednym liściu jego, u spodu, świeci się, gdyby brylant, kwiatusek jak przylepiony... pięć w nim listków złotych, w środku zaś oko śmiejące się, a tak obracające ciągle jak młyńskie koło... Jacusiowi serce uderzyło, rękę wyciągnął i już miał schwycić kwiat, gdy nie wiedzieć skąd, jak... — kogut zapiał. Kwiatek otworzył wielkie oko, błysnął nim i — zgasnął. Śmiechy tylko dały się słyszeć dokoła, ale czy to liście szemrały tak, czy się co śmiało, czy żaby skrzeczały, tego Jacuś rozpoznać nie mógł, bo mu się w głowie zawieruszyło, zaszumiało, nogi jakby kto podciął, i zwałił się na ziemię.

Potem już nie wiedzieć, co się z nim stało, aż się znalazł w chacie na pościeli, a matka płacząc mówiła mu, że szukając go po lesie, nad ranem półżywego znalazła.

Jacusz sobie teraz wszystko dobrze przypomniał, ale do niczego się nie przyznał. Wstyd mu było. Powiedział sobie tylko, że na tym nie koniec, przyjdzie drugi Święty Jan, zobaczymy...

Przez cały rok tylko o tym dumał, ale żeby się z niego ludzie nie śmieli, nikomu nic nie mówił. Znowu tedy umył się czysto, koszulę włożył białą, pasik czerwony, łapcie lipowe nie noszone — i gdy drudzy do ogni szli, on w las.

Myślał, że znowu mu się przyjdzie przedzierać jak za pierwszym razem, aż ten sam las i ta sama droga zrobiła się zupełnie inna. Wysmukłe sosny i dęby stały porozstawiane szeroko na gołym polu kamieniami posiałym...

Od jednego drzewa do drugiego iść było potrzeba, iść, i choć zdawało się tuż blisko, nie mógł dojść, jakby uciekały od niego, a kamienie ogromne, mchem całe porośnię, śliskie, choć leżały nieruchome, jakby z ziemi wyrastały. Pomiedzy nimi paproci stało różnej: małej, dużej, jak zasiał, ale kwiatu na żadnej. Z początku paproci było po kostki, potem po kolana, aż w pas, dalej po szyję — i utonął w niej nareszcie, bo go przerosła... Szumiało w niej jak na morzu, a w szumie niby śmiech słycać było, niby jęk i płacz, na którą nogą postąpił, syczała, którą ręką pochwycił, jakby z niej krew ciekła...

Zdawało mu się, że szedł rok cały, tak długą wydawała mu się ta droga... Kwiatu nigdzie... nie zawrócił się jednak i nie stracił serca, a szedł dalej. na ostatek... patrzy, świeci z dala ten sam kwiatek, pięć listków złotych dokoła, a w środku oko obraca się jak młyn...

Jacusz podbiegł, rękę wyciągnął, znowu kury zapiały na i znikło widzenie.

Ale już teraz nie padł ani omdlał, tylko siadł na kamieniu. Z początku na łyż mu się zbierało, potem gniew w sercu poczuli i wzburzyło się w nim wszystko.

— Do trzech razy sztuka! — zawołał z gniewem. A że zmęczony się czuł, położył się między kamienie na mchu i zasnął.

Ledwie oczy zmrużył, gdy mu się marzyć zaczęło. Patrzy, stoi przed nim kwiatek o listkach pięciu, z oczkiem pośrodku i śmieje się...

— A co? Masz już dosyć — mówi do niego — będziesz ty mnie prześladował?

— Com raz powiedział, to się musi stać — mruknął Jacuś — na tym nie koniec, będę cię miał!

Jeden listek kwiatka przedłużył się jak jęczyzek i Jacusio-
wi się wydawało, jakby mu na przekorę się pokazał, potem znikło wszystko i spał snem twardym do rana. Gdy się obudził, znalazł się w znajomym miejscu na skraju lasu, niedaleko od wioski, i sam nie wiedział już, czy to, co wczoraj było, snem miał zwać czy jawą. Powróciwszy do chaty zmęczony się tylko czuł tak, że położyć się musiał, i matuś mówiła mu, że wygląda jak z krzyża zdjęty. Przez cały rok, nic nie mówiąc nikomu, myślał ciągle, by tego dokonać, żeby kwiatu dostać. Nie mógł jednak nic wydumać, trzeba było spuścić się na szczęście swoje, na dolę lub niedolę.

Wieczorem znowu koszulę wdział białą, pasik czerwony, łapcie nie noszone, i choć go matka nie puszczała, jak tylko ściemniało, pobiegł do lasu. Stała się znowu inna rzecz, las był taki jak zawsze pospolitych dni, nic się już w nim nie zmieniło. Ścieżki i drzewa były znajome, żadnego cudowiska nie spotykał, a paproci nigdzie ani na lekarstwo. Ale lżej mu było wiadomymi ścieżkami dostać się daleko, daleko w gąszcze, gdzie pamiętał, że paprocie rosły... znalazł je na miejscu i nuż w nich grzebać, ale kwiatu nigdzie ani śladu.

Po jednym łąziły robaki, na drugim spały gąsienice, inne liście były poschłe. Już miał Jacuś z rozpaczy porzucić daremne szukanie, gdy tuż pod nogami zobaczył kwiatek, pięć listków miał złotych, a w środku oko świecące. Wyciągnął rękę i pochwycił go. Zapiekło go jak ogniem, ale nie rzucił, trzymał mocno.

Kwiat w oczach rosnąć mu poczynał, a taką jasność miał, że Jacuś musiał powieki przymykać, bo go oślepiła. Wciągnął go zaraz za pazuchę pod lewą rękę, na serce... Wtem głos się odezwał do niego:

— Wzięłeś mnie na szczęście to twoje, ale pamiętaj o tym, że kto mnie ma, ten wszystko może, co chce, tylko z nikim i nigdy swoim szczęściem dzielić mu się nie wolno...

Jacusiowi tak się w głowie z wielkiej radości zaćmiło, że niewiele na ten głos zważał.

„— A! Co mi tam! — rzekł w duchu — byle mnie na świecie dobrze było...”

Poczuł zaraz, że mu ów kwiat do ciała przylgnął, przyrósł i w serce zapuścił korzonki... Ucieszył się z tego bardzo, bo się nie obawiał, aby uciekł albo by mu go odebrano.

Z czapką na bakier, podśpiewując, powracał nazad. Droga przed nim świeciła jak pas srebrny, drzewa ustępowały, krzaki się odchyłały, kwiaty, które mijał, kłaniały mu się do ziemi, z głową podniesioną stąpał i tylko roił, czego ma żądać. Zachciało mu się naprzód pałacu, wioski ogromnej, służby licznej i straszego państwa; no i ledwie o tym pomyślał, gdy znalazł się u skraju lasu, ale w okolicy zupełnie mu nie znanej...

Spojrzawszy sam na siebie poznać się nie mógł. Ubrany był w suknie z najprzedniejszej sajety, buty miał na nogach ze złotymi podkówkami, pas sadzony, koszulę z najcieńszego śląskiego płótna.

Tuż stał powóz, koni białych sześć w chomątach pozłocistych, służba w galonach — kamerdyner rękę mu podał kłaniając się, wysadził do karety i — wio!

Jacuś nie wątpił, że do pałacu go wiozą; jakoż tak się stało, w mgnieniu oka powóz był u ganku, na którym służba liczna czekała. Tylko ani znajomego nikogo, ani przyjaciela, twarze wszystkie nieznane, osobliwe, jakby poprzestraszone i pełne trwogi.

Miał za to na co patrzeć, wyszedłszy do środka... Strach, co to był za przepych i jaki dostatek na tylko ptasiego mleka brakło.

— No! Będę teraz używał! — mówił Jacuś i opatrzywszy kąty wszystkie naprzód poszedł do łóżka, bo go sen brał po tej nocy pracowitej. W puchu jak legł na białej cieniutkiej przykrywszy się kołdrą jedwabną; i gdy usnął — sam nie wiedział, ile godzin tam przeleżał. Obudził się, gdy mu się strasznie jeść zachciało.

Stół był zastawiony, gotowy i taki osobliwy, że co Jacuś pomyślał, to mu się na półmisku sunęło samo. I jak spał bardzo długo, tak teraz, począwszy jeść a popijając, nie przestał, aż dalej już nie było co wymyślić i smak stracił dojadła.

Szedł potem do ogrodu.

Cały on był sadzony takimi drzewami, na których kwiatów było pełno razem i owoców; a coraz to nowe odkrywały się widoki. Z jednej strony ogród przypierał do morza, a z drugiej do lasu wspaniałego; środkiem płynęła rzeka. Jacuś chodził, usta otwierał, dziwił się, a najbardziej to mu się wydawało niezrozumiałym, że nigdzie swojej znajomej okolicy ani tego lasu, z którego wyszedł, ani wioski — dopatrzeć się nie mógł. Nie zatęsknił jeszcze za nimi, ale — ot, tak jakoś chciało mu się wiedzieć, gdzie się one podziały.

Wokoło otaczał go świat zupełnie mu obcy, inny, piękny, wspaniały, ale nie swój. Jakoś mu zaczynało być markotno. Na zawołanie jednak, gdy się ludzie zbiegać zaczęli a kłaniać mu nisko, a co tylko zażądał, spełniać i prawić mu takie słodczyce, że po nich tylko się było oblizywać — Jacuś o wsi rodzinnej, o chacie i rodzicach zapomniał.

Nazajutrz zaprowadzono go na żądanie do skarbcza, gdzie stosami leżało złoto, srebro, diamenty i takie różne malowane papiery szczególne, za które można było dostać, co dusza zażyczy, choć były robione z prostych gałganków, jak każdy papier inny.

Pomyślał sobie Jacuś: „— Miły Boże, gdybym to ja mógł garść jedną albo drugą posłać ojcu i matusi, braciom i siostram, żeby sobie pola przykupili albo chudoby” — ale wiedział o tym, że jego szczęście takie było, iż mu się z nikim dzielić nim nie godziło, bo zaraz by wszystko przepadło.

„— Mój miły Boże! — rzekł sobie w duchu — co ja mam się o kogo troszczyć albo koniecznie pomagać; czy to oni rozumu i rąk nie mają? Niechaj każdy sobie idzie i szuka kwiatu, a daje radę jak może, aby mnie dobrze było”.

I tak żył sobie Jacuś dalej, wymyślając coraz to co nowego na zabawę. Więc budował coraz nowe pałace, ogród przerabiał, konie siwe mieniał na kasztanowate, a karę na bułane, posprowadzał dziwów z końca świata, stroił się w złoto i drogie kamienie, do stołu mu przywozili przysmaki zza morza, aż w końcu sprzykrzyło się wszystko. Więc po pulpetach jadł surową rzepę, a po jarząbkach schab wieprzowy i kartofle, a i to się przejadło, bo głodu nigdy nie znał.

Najgorzej z tym było, że nie miał co robić, bo mu nie wypadło ani siekiery wziąć, ani grabi i rydła. Nudzić się począł wściekle, a na to innej rady nie znał, tylko ludzi męczyć, to mu robiło jaką taką rozrywkę, a i ta w końcu się uprzykrzyła...

Upłynął tak rok jeden i drugi — wszystko miał, czego dusza zapragnęła, a szczęście to mu się wydawało czasem jak głupie, że mu życie brzydło. Najwięcej go teraz gnębiła tęsknica do wioski swojej, do chaty i rodziców, żeby ich choć zobaczyć, choć dowiedzieć się, co się z nimi tam dzieje...

Matkę kochał bardzo, a jak ją wspominał, serce mu się ścisnęło.

Jednego dnia zebrało mu się na odwagę wielką i siadłszy do powozu pomyślał, aby się znalazł we wsi przed chatą rodziców. Natychmiast konie ruszyły, leciały jak wicher i nie opatrzył się, gdy zatrzymał się przed znanym mu dobrze podwórkiem. Jacusiowi łzy się z oczu puściły.

Wszystko to było takie, jak porzucił przed kilku latami, ale postarzałe, a po tych wspaniałościach, do których nawykł, jeszcze mu się nędzniejszym wydawało.

Żłób stary przy studni, pieniek, na którym drebka rąbał, wrotka od dziedzińca, dach porosły mchem, drabina przy nim... stały jak wczoraj. A ludzie?

Z chaty wychyliła się stara, przygarbiona niewiasta, w zamolonej koszuli, z obawą spoglądając na powóz, który się przed chatą zatrzymał.

Jacuś wysiadł; pierwszy spotykający go w podwórku był... stary Burek, jeszcze chudszy, niż był niegdyś, z sierścią najezioną. Szczekał na niego zajadle, przysiadając na tyle, i ani myślał poznać.

Jacuś postąpił ku chacie, w progu jej wsparta o uszak drzwi stała matka wlepiając w niego oczy, ale i ta nie zdawała się w nim swojego rodzzonego domyślać.

Jacusiowi serce biło wzruszeniem wielkim.

— Matusz — zawołał — ta toć ja, wasz Jacek!

Na głos ten drgnęła staruszka, oczy zaczerwienione od dymu i płaczu skierowała ku niemu i stała oniemiała. Potrząsnęła potem głową.

— Jacuś? Wolne żarty, jasnie panie! Tamtego już na świecie nie ma. Gdyby żył, toćby przecie przez lat tyle do biednych rodziców się zgłosił, a gdyby jak wy we wszystko opływał, z głodu nie dałby im umrzeć.

Pokiwała głową i uśmiechnęła się szydersko.

— Gdzie tam! Gdzie tam! — rzekła. — Jacuś mój miał serce poczciwe i nie chciałby nawet szczęścia, którym by się nie mógł podzielić ze swoimi.

Zasromał się mocno Jacuś, oczy spuścił... Kieszenie miał pełnusięńkie złota — ale co ręką sięgnął, żeby garść jego rzuścić w fartuch matce, to strach go brał wszystko razem utracić...

I stał tak, stał upokorzony, zawstydzony, a starucha na niego spoglądała... Poza nią zbierało się rodzeństwo, pokaza-

ła się głowa ojca... Jacusiowi serce miękło, ale jak spojrzął na swój powóz, konie, ludzi, a pomyślał o pałacu, znowu twardniało — i czuł, że kwiat paproci leżał na nim jak pancierz żelazny...

Odwrócił się od starej matki nie mówiąc słowa, nie patrząc i wolnym krokiem poszedł, słysząc tylko za sobą wściekle ujadającego Burka... Siadł do powozu i kazał jechać na powrót do rajju.

Ale co się w nim i z nim działo, tego język nie wypowie, żadne pióro nie opisze. Słowa starej matki, że nie ma szczęścia dla człowieka, jeżeli się nim dzielić nie może, brzmiały mu w uszach jak przekleństwo.

Powróciwszy do pałacu kazał kapeli grać, panom swoim tańcować, zastawiać stoły — upił się nawet trochę, kilku ludzi kazał oćwiczyć, ale to wszystko nie pomogło, pozostał bardzo markotny...

Przez cały rok, choć jak zwykle we wszystko opływał, w głębie mu czegoś było gorzko, a w sercu jakby kamień dźwigał...

Nie mógł w końcu wytrzymać, po roku znowu pojechał do wsi swojej i chaty... Spojrzął, wszystko, jak było: żłób, pieńnik, dach, drabina, wrota i Burek z sierścią najeżoną — ale stara nie wyszła. W progu pokazał się w koszulinie najmłodszy brat jego, Maciek.

— A matuś gdzie? — zapytał przybyły.

— Chorzy leżą — rzekł malec wydychając.

— A tatuś?

— Na mogiłkach...

Choć Burek mało go za pięty nie chwycił, wszedł Jacuś do chaty. Stara matka stękając leżała w kątku na łóżeczku.

Podszedł do niej Jacuś... popatrzyła nań, nie poznała... Mówić jej trudno było, a on o nic pytać się nie śmiał.

Serce mu się krajało. Już sięgał do kieszeni, aby złotem sypnąć na ławę — ale dłoń mu się ścisnęła, strach go paskudny ogarnął, że własne szczęście utraci. Niegodziwy Jacuś począł mędrkować.

— Starej już się niewiele na świecie należy, a jam młody. Ona się długo męczyć nie będzie... a przede mną... życie, świat, panowanie.

I wyrwał się z chaty do powozu, a z nim do pałacu — ale przybywszy tu zamknął się i płakał.

Pod żelaznym pancerzem na piersi, który włożył na niego kwiat paproci, związane i skrępowane budziło się sumienie... i gryzło mu wewnątrz serce. Więc kazał kapeli grać, a dworskim skakać, i pić zaczął, aby je zagłuszyć. Chwilami zdawało się, że go już nie słychać, a potem — jak wrzasło, Jacuś o mało nie oszalał. Ale nazajutrz i dni następnych ani na moment nie spoczywając nużył się ciągle czymś, latał, jeździł, strzelał, słuchał wrzasków różnych, jadł, pił... hulał... Nic nie pomagało...

W uszach ponad wszystkie wrzaski brzmiało: "— Nie ma szczęścia dla człowieka, jeżeli się nim z drugim podzielić nie może!"

Rok nie upłynął, aż Jacuś wysechł jak szczapa, wyzółkł jak wosk i w tym swoim dostatku i szczęściu męczył się nie do zniesienia. W końcu po jednej nocy bezsennej nakładłszy złota w kieszenie kazał się wieźć do chaty.

Miał to postanowienie, choćby wszystko stracił, a matkę i rodzeństwa poratować.

— Niech się już dzieje, co chce! — mówi. — Niech ginę, dłużej z tym robakiem w piersi żyć nie mogę.

Stały konie przed chatą.

Wszystko tu było jak przedtem: żłób stary u studni, pień, dach, drabina — ale w progu chaty żywej duszy nie było.

Jacuś pobiegł do drzwi — stały kolkiem podparte; zajrzał przez okno — chata była pusta...

Wtem żebrak, stojący u płota, wołać nań zaczął:

— A czego tam szukacie, jasny panie... Chata pusta, wszystko w niej wymarło z biedy, z głodu i choroby...

Jakby skamieniały stał ów szczęśliwiec u progu — stał i stał... „— Z mojej winy zginęli oni — rzekł w duchu — niech-

że i ja ginę!”. Ledwie to rzekł, gdy ziemia się otworzyła, i zniknął a — z nim nieszczęsny ów kwiat paproci, którego dziś już próżno szukać po świecie.